

Prolog

– No to jesteśmy w czarnej dupie!

Kostka odłożyła telefon i umościła się wygodnie w fotelu. Była w ciąży i nie znosiła tego najlepiej. Tak po prawdzie, to nic jej nie dolegało poza tym, że czuła się niczym czołg, ciężarówka albo galera. Nigdy nie należała do małych i drobnych osóbek, ale teraz jej gabaryty zdecydowanie uległy rozdęciu. Wszystko dlatego, że gdy tylko czuła się niedojedzona, to natychmiast robiło się jej niedobrze, więc zażerała ten głód i tyła. Babcia Mania pocieszała ją na początku, że to niemiłe uczucie wkrótce powinno minąć, jednak zaprzestała po jakimś trzecim miesiącu. Potem zmieniła śpiewkę na „po porodzie szybko zrzucisz nadprogramowe kilogramy”, a teraz tylko tuliła rozhisteryzowaną przyszłą matkę, kiedy ta płakała jej w mankiet, *bo jestem taka utyta, że już chyba bardziej nie można*. Okazało się, że jednak można, z każdym miesiącem dawała radę i rutynowo odbierała z pokorą połajankę od swojego ginekologa. Najbardziej bała się, gdy lekarz straszył ją porodem. *Urodzisz giganta*, mówił. *Popękasz. Nie pochłaniaj tyłu kalorii*. Bała się, ale nie mogła się opanować z jedzeniem. Na szczęście Wiktor patrzył na nią jak na ósmy cud świata.

– Możesz jaśniej? – spytał jej rudowłosy wiking.

– Mogę. Patrycja była u ginekologa i potwierdziła to, o czym rozmawialiśmy w ubiegłym tygodniu.

– To znaczy?

– Jest w drugim miesiącu ciąży, więc rezygnuje z pracy u nas i bierze ślub. Chyba w odwrotnej kolejności. – Kostka przygryzła końcówkę długopisu, którym dotychczas nerwowo wymachiwała.

– To chyba dobrze, co?

– Dobrze, ale babcia Mania zostanie bez pomocy.

– To nic. – Wiktor uśmiechnął się ciepło i przysunął się do dziewczyny. – Wprawdzie mamy dopiero początek sezonu, ale ona pewnie popracuje jeszcze trochę. Potem, po wakacjach, ruch na pewno zmaleje, a jak Patrycja definitywnie odejdzie, rozejrzemy się za kimś do kuchni. A może my też... – Mężczyzna zająknął się, bo nie bardzo wiedział, jak sformułować myśl.

– Co: my też?

– A może my też poszlibyśmy w ślady Patrycji – szepnął nieśmiało.

– Zwariowałeś? Przecież to ona poszła w nasze ślady! Ja jestem w czwartym, a ona w drugim miesiącu!

– Nie o to mi chodziło. Znaczy o to też, ale powiedziałaś, że ona będzie brała ślub... więc pomyślałem... No wiesz, fajnie by było...

– Czy ty mnie prosisz o rękę? – Konstancja wyprostowała się w fotelu i spojrzała z błyskiem w oku na przymilającego się Wiktora.

– No wiesz... ja tylko tak sobie dywaguję... Nie denerwuj się, kochanie! Jak nie chcesz, to...

– A pierścionek gdzie? – przerwała mu ostro. – Myślisz, że się wymiksujesz z wydatków? – niemal wyszczała, a potem uśmiechnęła się słodko i wyszeptwała: – Pewnie, że chcę!

– O matko! – Wiktor odetchnął z ulgą, bo atak Kostki naprawdę go przestraszył.

– Ale nie myśl, że wymigasz się od pierścionka!

Gospodarstwo agroturystyczne „U Wiktora” działało całkiem sprawnie. Choć współwłaściciele, czyli Wiktor, Kostka i babcia Mania, obawiali się początkowo, czy ich pomysł na ośrodek, gdzie można wypoczywać z psami, wypali, okazało się, że mają stuprocentowe obłożenie na okres wakacji. Reklama szeptana i internetowa spełniły swoje zadanie. Ci, co zaliczyli kilkudniowy pobyt z pupilem, rekomendowali miejsce oraz obsługę przyjaciółom i znajomym. Liczba chętnych na lipiec i sierpień przekroczyła ich możliwości – z przykrością musieli odmawiać. Niektórzy dali się namówić na termin późniejszy, dlatego o wrzesień również nie musieli się martwić. Zresztą miała na to wpływ również pogoda: długoterminowe prognozy przewidywały ciepłą jesień zroszoną od czasu do czasu deszczem, a to gwarantowało bogate grzybobrania.

Konstancja rozsiadła się na tyłach domu babci Mani. Klara była w szkole, więc wszystkie psy zgromadziły się u jej stóp. Kobieta machinalnie gładziła podstawiane lby i popatrywała z podziwem na okolicę. Znała to miejsce od blisko trzech lat, na stałe mieszkała nieco krócej, ale nigdy nie przestała się zachwycać. I wtedy, gdy panowała jesień, a brzozy rosnące w ogrodzonym wybiegu dla psów i zaraz za płotem przy najłżejszym podmuchu wiatru sypały liśćmi niczym konfetti. Nasłuchiwała wówczas, bo gdzieś daleko żurawie zbierały się do odlotu, oznajmiając to całej okolicy donośnym klangorem. Wpatrywała się w żeglujące po niebie obłoki, a czasem na ich tle pojawiał się klucz dzikich kaczek. W zimie, gdy pod stopami chrząścił bielutki śnieg, a mróz szczypał w nos i malował srebrzyste kwiaty na szybach. Czy tak jak teraz, gdy wiosna rozkładała wokół swą bladozieloną suknię, a zewsząd dobiegały głosy podekscytowanych ptaków, które, nie zważając na obecność ludzi, zalecały się na całe gardło do swoich wybranek. Kostka odwróciła się, żeby móc

lepiej obserwować ten koncert i dzięki temu kątem oka zauważyła wyglądającą zza rogu Zosię.

– Pani Zofio! – krzyknęła. – Zapraszam do mnie na herbatkę!

Przez chwilę wyglądało, że kobieta ma zamiar się cofnąć, ale zachęcona okrzykiem ruszyła w stronę pracodawczyni. Była niewysoka, drobna, z blond włosami związanymi w koński ogon. Z daleka – ubraną w dżinsowe ogrodniczki, granatowy T-shirt, który przyrzuciła flanelową koszulą w kratę z podwiniętymi rękawami – można ją było wziąć za dziewczynkę. Z bliska widać było, że nie jest już taka młoda. Musi być między trzydziestką a czterdziestką, pomyślała Kostka. Bliźniaki mają chyba już po piętnaście...

– Bo ja chciałam pogadać – zaczęła Zosia nieśmiało i stanęła przed Konstancją niczym gamoniowata uczennica przed srogim nauczycielem. Międlili w palcach brzeg koszuli, a gest ten potęgował wrażenie zagubienia kobiety.

– Niech pani siada – poprosiła Konstancja. – Babcia Mania miała mi potowarzyszyć, ale znowu coś tam pichci w kuchni i nie ma dla mnie czasu.

Gospodyni naląła herbatę i podsunęła w stronę stremowanej pracownicy cukier oraz cytrynę.

– O co chodzi? – spytała, gdy gość się obsłużył.

– Bo widzi pani – zaczęła Zosia – przyszła mi do głowy taka myśl, znaczy pomysł... W sprawie domków, tylko nie wiem...

– No, niech pani mówi, jestem bardzo ciekawa – rzuciła życzliwie Kostka, choć w duchu ciężko westchnęła. Nie spodziewała się specjalnych rewelacji, w końcu pani Zofia zajmowała się sprzątaniami i praniem, generalnie rzecz biorąc, obsługą kwater.

– Bo ja tak sobie pomyślałam, że te nasze domki to takie bezosobowe są. – Kobieta zawstydzila się swojej bezpośredniości. – Znaczący nie są złe, ludzie chwalą, że wygodnie się mieszka – tłumaczyła zawstydzona. – Ale one takie nijakie – zaczerwieniła się, ale

ciągnęła dalej – ludziom to się nawet czasem myliło, kto w którym mieszka.

– I co w związku z tym? – spytała spokojnie Kostka, chociaż te uwagi nieco ją uraziły. – Zarzuty rozumiem i przyjmuję do wiadomości, tylko chciałabym wiedzieć, co dalej?

Zosia przygryzła wargi. Dotarło do niej, że naraziła się szefowej. W duchu żałowała, że się wychyliła z uwagami. W żadnym wypadku nie chciała stracić tej pracy. Odkąd zaczęła sprzątać w ośrodku u Wiktora i Kostki, zdecydowanie poprawiła się jej sytuacja.

– Bo ja... – próbowała wydukać, ale strach ją paraliżował.

– Niechże to pani w końcu z siebie wydusi! – Kostka nieco podniosła głos. – Powiedziała pani, że ma jakiś pomysł, a na razie słyszę tylko, że jest źle. – Na szczęście zauważyła, jak bardzo stremowana jest Zosia i uwagę złagodziła uśmiechem.

– Dobrze. – Zosia odetchnęła głęboko. – To ja już powiem. I to nie będzie dużo kosztować – zastrzegła od razu, żeby uprzedzić ewentualne zastrzeżenia.

– OK, grunt przygotowany – zażartowała Kostka. – Możemy przejść do konkretów. Na czym ma polegać ten pomysł?

– Chodzi o to, że domki mogłyby się różnić kolorami – zaczęła Zosia i widząc, że szefowa chce zaprotestować, szybko wyjaśniła: – Nie chodzi o malowanie elewacji, a tylko o wystrój wnętrza. Każdy domek miałby swój kolor: niebieski, zielony, żółty i tak dalej. Można uszyć zasłonki, obrusiki na stół, do tego dobrać ręczniki, koce i pościel. A na oknach kwiatki w kolorowych osłonkach. A te okropne drewniane gruszki przy kluczach pomalować albo zmienić na jakieś breloczki w odpowiedniej barwie.

Kostka siedziała, przypatrując się w zdumieniu swojej niepozornej pracownicy. Zosia wierciła się na krześle, sądząc, że szefowa za chwilę wyśmieje ją i zwyczajnie każe wracać do roboty.

– Pani Zosiu – odezwała się w końcu Konstancja. – To naprawdę fantastyczny pomysł. Jak pani na to wpadła? Proste i genialne!

Zosia zarumieniła się, pochwała była miła, jednak uznała, że musi powiedzieć prawdę.

– To nie moja zasługa – wyznała. – Ja czasem oglądam taki program w telewizji o remontach. No i stamtąd wzięłam ten pomysł...

– Nieważne skąd, ważne, że przełożyła to pani na nasze podwórko. Zajmie się pani tym? Bo trzeba kupić materiały, zlecić komuś szycie. No i ręczniki, pościel, te doniczki!

– Pewnie! – Zosia uśmiechnęła się szeroko i postanowiła pójść za ciosem. – Ale mam jeszcze jedną sprawę...

– Słucham! – Wizja kolorowych domków bardzo pozytywnie nastawiła Kostkę do pomysłów kobiety.

– Bo jak już zmiany, to po całości. Widzi pani, mnie się wydaje, że powinniśmy zmienić pościel. – Widząc minę szefowej, natychmiast dodała: – Nie całą naraz oczywiście, ale ta, co mamy teraz, to tylko roboty i kosztów przysparza.

– Jak to?

– Tę starą trzeba prać w wysokiej temperaturze albo oddawać do pralni i do prasowania lub maglowania. A gdyby kupić takie śliczne kompleciki z kory w odpowiednim do każdego domku kolorze, to można by je prać na miejscu i bez maglowania czy prasowania oblekać. I roboty mniej, i koszt zdecydowanie mniejszy.

Kostka patrzyła przez chwilę na kobietę.

– Rany gościa, pani Zosiu, ja nie wiedziałam, że mam taki skarb u boku – wyraziła swój zachwyt.

Kobieta jeszcze bardziej zaczerwieniła się z zadowolenia. Dopiła herbatę i podniosła się z krzesła.

– To ja już pójdę. Dzisiaj zwalnia się czwórka, lecę posprzątać.

– Jasne. Pani Zosiu, to może jutro pojedziemy do Nidzicy? Będzie pani miała czas?

– Oczywiście!

Kiedy po południu wszyscy domownicy zeszli się na obiad, Kostka opowiedziała o propozycji Zosi i o tym, w jakie zdumienie wprawiły ją słowa prostej wiejskiej dziewczyny.

– Bo ona to taka zupełnie wsiowa nie jest – powiedziała babcia Mania, stawiając na stole półmisek z ziemniakami posypanymi koperkiem. – Ona to taki element napływowy, nie przymierzając jak ty, Kosteczko.

Rozdział 1

Zosia Kaczmarek była ślicznym i grzecznym dzieckiem, nie stwarzała żadnych problemów; działała na zasadzie, gdzie mnie postawisz, tam stoję, dokąd mnie popchniesz, tam pójde. Nie wynikało to może z jej charakteru, a raczej ze sposobu wychowania. Ojciec, Zygmunt, był w rodzinie jednoosobową wyrocznią. Halinka, jego żona, podporządkowała się bez szemrania, a córka wzięła z niej przykład. Zresztą był to jedyny dostępny wzorzec postępowania. Kiedy inni rodzice przeżywali okres buntu własnych pociech, u Kaczmareków panował spokój. Wprawdzie Zosia czasami w duchu kwestionowała niektóre zarządzenia taty, nigdy jednak, podobnie jak mama, nie ośmieliła się wyrazić wątpliwości głośno.

Zapewne stan taki trwałby do śmierci pana Zygmunta, gdyby nie jego nieoczekiwana wielkoduszność względem córki. Otóż któregoś pięknego dnia kuzynka zaprosiła całą rodzinę do siebie. Starsi mieli się bawić na piętrze, świętując imieniny pana domu, Andrzeja, a ich pociechy na parterze, gdzie miał się odbyć wieczór andrzejkowy z wróżbami, laniem wosku, no i tańcami. Zosia, której zwykle nie pozwalano na udział w prywatkach, domówkach i innych tego typu imprezach, tym razem mogła się rozerwać, bo przecież w pobliżu byli rodzice. Cóż złego mogło się wydarzyć?

Ten wieczór odmienił całe życie dziewczyny. Młodzi bawili się w najlepsze, tańcząc i racząc się po kryjomu napojami wysokowymi,

kiedy zjawili się kolejni goście. Do pokoju wkroczył Broniek, przez żeńską część zebranych witany entuzjastycznymi okrzykami. U jego boku wisiała mocno wymalowana dziewczyna. Zdawał sobie sprawę, jaki wzbudza podziw wśród młodych kobiet, dlatego natychmiast zauważył tę jedną jedyną, która nie piała z zachwytu. A Zosia zwyczajnie była zbyt onieśmielona, żeby okazać swoje zainteresowanie przystojnemu mężczyźnie. Na pewno starszy od zgromadzonej młodzieży, wysoki i szczupły, w obcisłych dżinsach i koszulce z logo znanej firmy, blondyn z szaro-niebieskimi oczami i jednodniowym zarostem rozniecał pragnienia, z istnienia których dopiero zaczynała zdawać sobie sprawę. Kiedy poprosił ją do tańca i zamknął w ramionach, miała wrażenie, że zaraz zemdleje. A on płał w tym jej uwielbieniu i natychmiast zauważył to, czego inni nie dostrzegali: filigranowa Zosia była śliczna jak marzenie i zgrabna jak koleżna. Gdy powiedział jej jakiś komplement, uśmiechnęła się, tak wdzięcznie marszcząc nosek i mrużąc oczy, aż odniósł wrażenie, że przytula małego psotnego elfa, a nie kobietę. Zauroczyła go od pierwszego spojrzenia, a Zosia zakochała się nieprzytomnie. Była wtedy w klasie maturalnej.

Nie odważyła się opowiedzieć rodzicom o swojej miłości, spotykali się jednak potajemnie. Broniek po pracy przychodził pod szkołę i odprowadzał ją do domu. Całowali się zapamiętane wykorzystując każdy opustoszały przystanek autobusowy, każdy mroczniejszy fragment ulicy. Na nic więcej Zosia nie pozwoliła. Rodzice zaś żyli w przekonaniu, że ich córka zostaje na dodatkowych zajęciach, przygotowując się intensywnie do matury.

Na bal studniówkowy zdecydowała się nie iść, bo nie chciała być sama, a bała się zaprosić Bronka. Trochę się na nią za to boczył, ale kiedy wyznała mu, że zwyczajnie nie miała pieniędzy, żeby wykupić dla nich obojga bilety, wybaczył i powiedział, że on im ten bal zasponsoruje, w końcu w warsztacie niezłe zarabia, stać go.

Zosia na balu wyglądała niczym księżniczka, choć kreację pożyczła od kuzynki: długa granatowa suknia na cienkich ramiączkach zmysłowo opływała ciało, uwydatniając niezbyt duży, ale kształtny biust, krągłe biodra i jędrne pośladki. Złociste włosy upięła wysoko, odsłaniając ponętą szyję, a jedyną ozdobę stanowił prezent od Bronka: cieniutki łańcuszek ze stylizowanym kotkiem, który nikał w zagłębieniu między piersiami. Lekki makijaż przydawał jej kobiecości, nie tuszując zbyt wiele dziewczęcego uroku.

Kiedy dziewczyna zdjęła w szatni wierzchnie okrycie, Broniek nie mógł wydobyć z siebie głosu. Ten zachwyt sprawił, że poczuła się naprawdę szczęśliwa. Poszła z nim; muzyka i jego ramiona otuliły ją miękkim kokonem radości, ufności i wiary, że życie, które rozpoczyna, będzie niczym ten bal. Nie zaprotestowała, gdy namiętnym szeptem namawiał ją, by uciekli z imprezy i spędzili resztę nocy sami.

Pokój w hostelu był dość przeciętny, ale jej to nie przeszkadzało, bo Broniek samym spojrzeniem wynagradzał wszelkie niedogodności. W ciepłym blasku nocnej lampki zsunął z jej ramion suknię i pożerał wzrokiem nagie ciało. Zosia dygotała ze wstydu i napięcia, miała ochotę schwytać ubranie i uciec do domu.

– Jesteś piękna... Jesteś niczym marzenie, niczym najcudowniejszy sen – wyszeptał jej do ucha, a ona zadrżała. – Nie pozwól mi się obudzić...

Całował ją niby tak samo jak setki razy do tej pory, a jednak inaczej. Delikatny dotyk warg i języka rozpałały jak nigdy dotąd. Jeszcze jej nie dotknął, jeszcze nie pokazał, jaką drogą podąża, a ona była gotowa rzucić się na jego wezwanie w przepaść. Zniknął gdzieś cały strach i konsternacja, zostało jedynie pragnienie, by stać się kobietą, jego kobietą.

Gdy zamknął w dłoni jej pierś, mruknęła z zachwytem i wygięła ciało w łuk, podając mu się jak na tacy. Przytrzymał ją

ramieniem, by nie upadła i całował pachnącą perfumami szyję, wchłaniał zapach rozgrzanego emocjami ciała, podążając jednocześnie w stronę łóżka. Zanim runęli w pościel, zacisnął dłonie na pośladkach i jednym ruchem ściągnął koronkowe majtki, zostawiając ekscytujące pończochy. Zauważył, że utrzymują się dzięki elastycznym ściągaczom i poświęcił im sporo uwagi, całując wzdłuż obrzeża. Potem przeniósł się na brzuch i zanurkował językiem w kształtnym pępku, jednocześnie chwytając palcami sutki. Z ukontentowaniem dostrzegł, że błyskawicznie nabrzmiały, a Zosia nie zdołała powstrzymać jęknięcia. Przesunął się nieco w górę, aby ustami pieścić i biust, i brzuch. Jego biodra spoczywały między udami dziewczyny; podrażnił ją odrobinę, nie oferując pełnego zaspokojenia. Zaczęła więc sama ocierać się o niego, by rozładować podniecenie, ale sturlał się na bok. Stęknęła rozczarowana, a potem sięgnęła dłonią, by dotknąć jego męskości i jak najszybciej zakosztować spełnienia z ukochanym mężczyzną, by sprawdzić, czy jest doskonalsze niż wtedy, gdy robiła to sama.

Roześmiał się cicho i wsunął jej dłoń między uda; rozgarnął ciemnozłote włoski i zakonotował sobie w pamięci, żeby na przyszłość zasugerować jej gładkie wygolenie tej strefy, a potem pociągnął palcem po wilgotnym wnętrzu. Zosia mruknęła z zachwytem i mocniej rozchyliła nogi. Najpierw spenetrował ją językiem, a ta pieszczota zaskoczyła ją całkowicie i uzmysłowiła, jak wiele może oczekiwać od partnera. Bronek odsunął się na chwilę, usłyszała szelest folii i domyśliła się, co robi. Odetchnęła z ulgą, że zadbał o zabezpieczenie, bo ona sama całkiem straciła głowę. Przysunął się delikatnie i, pomagając sobie ręką, wprowadził członek do jej wnętrza. Kilka razy poruszył się na samym brzegu, jakby próbując, czy uda mu się sforsować zaporę, a potem nagle pchnął. Dziewczyna poczuła fizyczny ból, który nie był jakiś straszny, tym bardziej że

mężczyzna zatrzymał się na chwilę i pozwolił jej oswoić się z tym uczuciem. Potem popłynęli zgodnym rytmem, ale Zosia, mimo że podniecona do granic, nie przeżyła orgazmu.

– Tak się często dzieje – wyjaśnił Broniek i ponownie zanurkował między uda, by dopieścić dziewczynę językiem.

Zosia złożyła papiery na pedagogikę, ale ani egzaminy, ani same studia nie absorbowały jej uwagi tak jak Broniek. Spotykali się rzadko, bo dziewczyna nie umiała kłamać. On zawsze jednak znalazł okazję, by mogli się zobaczyć choćby króciutko, na przykład, gdy matka posyłała ją do sklepu albo zdecydowanie dłużej, gdy kazała jechać do babci, żeby pomóc staruszce. Na szczęście babcia nie miała telefonu, więc jeśli chciała gdzieś zadzwonić, korzystała z grzeczności sąsiadki. Zośka szybko uwijała się z obowiązkami, a potem mogła poświęcić czas ukochanemu. Ukrywali się wtedy na ławce w parku, a czasem zaszywali gdzieś w lesie. Z duszą na ramieniu kochali się w dzikim pośpiechu na rozłożonej kurtce. Dziewczyna nie czerpała z tego żadnej przyjemności, wręcz przeciwnie, czuła się zbrukana takim zwierzęcym aktem, ale nie potrafiła zaprotestować. Szkoła taty dawała efekt: mężczyzna żądał, trzeba mu się podporządkować.

Dostała się na tę swoją wymarzoną pedagogikę i jakby nieco oprzytomniała. Od października miała zacząć studia w Olsztynie, nawet kupiła trochę podręczników, bo niektórzy wykładowcy wcześniej podali spis potrzebnych lektur. Rodzice byli dumni, ona szczęśliwa, bo i przecież miała Bronka. Tylko od czasu do czasu przylapywała się na głupich myślach, że oni właściwie ze sobą nie rozmawiają. Nie wiedziała, czym fascynuje się jej chłopak, co lubi (oprócz seksu oczywiście), nie znała jego przyjaciół, bo przecież nigdzie nie wychodzili razem. To się zmieni, pocieszała sama siebie. Zacznę studiować, zamieszkać w akademiku, tata nie będzie już mógł tak mnie kontrolować. Jakoś to będzie.

Jednak we wrześnie zorientowała się, że coś z nią jest nie w porządku. Kupiła test w aptece i nagle wszystko zrozumiała.

Kilka dni później jej życie rozpadło się na kawałki.

Wcale nie z powodu Bronka, bo on właściwie był zadowolony. To, że dziewczyna zaszła w ciąży, potwierdzało jego męskość, a takich potwierdzeń nigdy nie za wiele, przynajmniej jeśli chodzi o niektórych. Zosia najbardziej na świecie bała się rozmowy z rodzicami. Na wszelki wypadek poprosiła chłopaka, żeby nie wchodził z nią do mieszkania, tylko poczekał na dole.

Otworzyła drzwi, rozebrała się i skierowała do kuchni. Wiedziała, że o tej porze mama kończy przygotowywać obiad, a tata czeka przy nakrytym ceratą stole, rozwiązując krzyżówki. Przywitała się i stanęła niezdecydowana w drzwiach.

– Mamo! Tato! Muszę wam coś powiedzieć!

Matka odwróciła się do córki, przerywając na chwilę mieszanie warzyw na patelni, ojciec uniósł głowę znad pisma, ręka z długopisem zawisała nad blatem.

– No! – ponaglił, jakby chciał pokazać, że dziewczyna zajmuje jego cenny czas przeznaczony na wypoczynek.

Zosia poczuła suchość w ustach i łomotanie serca. Całą minioną noc zastanawiała się, jak najłagodniej przekazać tę nowinę, ale czego by nie wymyśliła, wszystko i tak brzmiało koszmarnie. Dlatego wyznała po prostu:

– Jestem w ciąży.

Cisza niemal skamieniała w pomieszczeniu. Do matki pierwszej dotarła informacja; upuściła łyżkę, a złożone dłonie przycisnęła do klatki piersiowej, jednak nie wydała z siebie żadnego dźwięku, rzucała tylko wystraszone spojrzenia to na męża, to na swoje dziecko.

– Cóż... – Ojciec wyglądał na spokojnego, ale córka zbyt dobrze go znała: widziała drgające nerwowo szczęki i bielejące nozdrza – oznakę najwyższej wściekłości. – I co mamy z tym faktem począć?

Zosia patrzyła bezradnie na rodziców. Właściwie to sama nie wiedziała, czego od nich oczekuje... Wsparcia? Pocieszenia? Zapewnienia o miłości? Sądziła, że tak powinno być w normalnej rodzinie. Cięża to nie wyrok, to raczej szczęście, choć może do niej przyszło trochę zbyt wcześnie.

– Nie prosiłaś nas o zgodę, gdy ściągałaś przed jakimś miglancem majtki, więc teraz nie oczekuj od nas euforii – powiedział twardo.

Chciała mu wykrzyczeć, że żadna nastolatka nie uzgadnia tego z własnymi rodzicami, ale zaschło jej w gardle, nie mogła wydusić słowa. Patrzyła tylko na ojca, a w oczach zbierały jej się łzy.

– Chciałaś być dorosła i samodzielna? Więc proszę – w głosie ojca dźwięczał gniew – już jesteś! Zostaw klucze, matka spakuje twoje rzeczy, odbierzesz je sobie później, tylko postaraj się zrobić to wtedy, gdy będę w pracy.

Zosia stała oniemiała, otwierała usta jak ryba wyrzucona na brzeg, jednak nie potrafiła sformułować prostego zdania. Spojrzała jeszcze na matkę, ale kobieta odwróciła się w stronę kuchenki.

Wyjęła więc klucze i położyła na stole.

– Zofio! – Głos ojca zatrzymał ją w przedpokoj, przez chwilę nadzieja rozgorzała w jej sercu na nowo. Wróciła do kuchni. – Zostaw komórkę, w końcu to my płacimy abonament, a matce podaj jakikolwiek telefon, pod którym będzie mogła zostawić ci wiadomość, że twoje rzeczy są gotowe do odbioru.

Podsunał jej krzyżówkę i podał długopis. Zapisała na marginesie numer do Bronka.

Tak na dobrą sprawę ze stuporu wyrwał ją właśnie Bronek. Stał przed klatką i czekał na Zosię. Widział, jak schodzi po schodach niczym zombie. Otworzyła drzwi wejściowe i ruszyła chodnikiem w stronę przystanku autobusowego, mijając chłopaka, jakby był przezroczysty. Chwycił ją za ramię, odwrócił do siebie i zajął w oczy.

– Co jest, dzieciaku?

Nie odpowiedziała, chociaż jej spojrzenie stało się przytomniejsze, a kiedy mocno ją do siebie przycisnęła, łzy popłynęły strumieniem. W tamtej chwili miała przeczucie, że to nie jedyna przykra rzecz, jaka ją spotka w życiu. Płakała z żalu za tym, co utraciła i ze strachu przed tym, co będzie.

Przyszła teściowa usadziła ją przy stole w kuchni, podała talerz gorącej zupy i wcisnęła do ręki łyżkę.

– Że też musiałaś trafić na Wójcika – skomentowała Aniela Wójcikowa, gdy tylko wypchnęła Bronka, żeby trochę posprzątał swój kawalerski pokój.

Zosia poczuła, że w gardle ponownie rośnie jej gula. Nic tej kobiecie nie zrobiła, dopiero się poznały, a ona już wyskakuje z takimi tekstami. Dlaczego mnie nie lubi?, zastanawiała w duchu, machinalnie łykając krupnik razem ze łzami.

Kolejne dni mijały jej jak w koszmarnym śnie. Jadła, bo podsuwali jedzenie pod nos, spała, bo gasili światło, myła się, bo tak była przyzwyczajona. A kiedy tylko mogła, płakała.

Odebrali z Bronkiem z domu rodzinnego ubrania, kosmetyki i kilka książek, nawet te nowe podręczniki, jednak z mamą nie porozmawiała. Kiedy otrzymali esemesa, natychmiast pojechali do Nidzicy. Jej rzeczy stały na klatce spakowane w cztery ogromne torby. Zosia stuknęła do drzwi, nawet wydawało się jej, że słyszy jakieś szmery, ale nikt nie otworzył. Widocznie ojciec zabronił jakichkolwiek kontaktów, a matka słuchała go we wszystkim. Zosia znowu przeryczała cały wieczór.

W następną niedzielę teściowa zarządziła, że idą razem do kościoła. Młodzi musieli się wypowiedzieć, a po mszy mieli wszyscy

razem pójść do zakrystii, ustalić termin ślubu. Pani Aniela obserwowała swoją przyszłą synową i ciężko wzdychała. Taka maleńka, taka drobna, jak ona sobie da radę na wsi. Nic nie umie, na niczym się nie zna. Dzieciak jeszcze, a zaraz własnego mieć będzie.

Rozważania Wójcikowej przerwał dość gwałtowny jak na kościół ruch. Od konfesjonału oderwała się filigranowa postać, szybkim krokiem podążyła w stronę wyjścia, w pośpiechu wykonała znak krzyża i ruszyła biegiem. Pani Aniela odszukała wzrokiem Bronka i gestem nakazała mu gonić narzeczoną, sama zresztą też opuściła świątynię, tyle że zdecydowanie dostojniej. Kiedy dotarła do domu, Zosia i jej syn siedzieli na schodkach. Dziewczyna po raz kolejny wyla.

– Jezu – syknęła zniecierpliwiona – co znowu?

Odgoniła Bronka i sama, choć z trudem, przysiadła obok dziewczyny.

– Dziecko, co się stało?

Zosia zamiast odpowiedzi, wybuchnęła jeszcze większym płaczem. Taka bezradność drażniła panią Anielę niepomieranie. Ona nie zwykła się mazgaić, a na dodatek musiała sobie radzić z trzema mężczyznami: mężem, świeć Panie nad jego duszą, i dwoma chłopakami. Niełatwe zadanie, ale przecież podolała. Tylko że ta Zosia inna jest, z innej gliny. Z chińskiej porcelany, zaśmiała się w duchu Aniela. Zaraz jednak wewnątrz spoważniała. Cóż z tego, że delikatna – musi sobie poradzić, a droga przed nią niełatwa. Znała swoich Wójcików, wiedziała, że Bronek taki sam jak ojciec i brat. Teraz już za późno, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Trzeba myśleć o przyszłości. I pani Aniela postanowiła, że nie da tej małej zginąć. W końcu nosi pod sercem jej wnuka albo wnuczkę.

– No! – Szturchnęła lekko przyszłą synową. – Gadaj! Jak człowiek wie, o co chodzi, to i coś zaradzić może. A jak nic nie powiesz, to nie ma jak rady szukać.

Zosi nie tyle słowa trafiły do przekonania, co dotyk szorstkiej dłoni, która zacisnęła się na jej nadgarstku.

– Bo on... – wyszlochała. – Znaczy ksiądz... Powiedział, że ja to dziecko zbrukałam. Grzech... Grzech mu swój na duszę wrzuciłam i... i...

– O! To... Ten... – Wójcikowa stłumiła przekleństwo, bo nawet w gniewie nie odważyła się wyrzeknąć na przedstawiciela kościoła. – Nie czekajcie na mnie z obiadem – poleciła tylko i pognąła z powrotem do kościoła.

Zosia nigdy nie dowiedziała się, jakich argumentów użyła teściowa, ale ślub został wyznaczony za dwa tygodnie. W piękny jesienny dzień przyrzekli sobie to, co wszyscy młodzi przysięgają albo przed Bogiem, albo przed urzędnikiem; świadkami byli jakaś siostra cioteczna Bronka i jego rodzony brat, Henryk, no i oczywiście pani Aniela. W tamtym momencie Zośka sądziła, że najgorsze ma już za sobą.

– Dziewczyno, czy ty tylko płakać potrafisz? – Aniela załamała ręce, kiedy zobaczyła synową. – Co znowu? Coś z dzieckiem?

Zosia zasłoniła twarz rękoma.

– Nie z dzieckiem – jęknęła. – Z dziećmi. Znaczy wszystko w porządku, tylko że to bliźnięta.

Teściowa prawidłowo odczytała reakcję dziewczyny: ona się zwyczajnie bała.

– Ich dwóch albo dwie – wyszeptwała i poklepała przyszlą matkę po plecach – ale i my też dwie. Damy radę, Zośka, damy radę. Tylko musisz być silna.

Od tamtej chwili zaczęło się coś psuć między Zosią a Bronkiem. Znaczy chyba psuło się już wcześniej albo nigdy dobrze nie było, ale dopiero teraz zaczęła to zauważać.

Zapatrzona w swój malutki wszechświat, wsłuchana w jeszcze niesłyszalne dla nikogo poza nią głosy, odsunęła się od męża. Pod pretekstem, że jest jej ciasno i niewygodnie, przeniosła się do pokoju, który został przeznaczony dla dzieci. Każda próba zbliżenia wywoływała w niej panikę, że skrzywdzą bliźniaki. Krok po kroku skutecznie oddalała się od Bronka, a on był zbyt dumny albo zbyt głupi, żeby zrozumieć i przeczekać. Poza tym zawsze miał pod dostatkiem dziewczyn i korzystał z tego bogactwa nawet wtedy, gdy zabiegał o względy Zosi. W końcu mężczyzna swoje potrzeby ma, dziewczyna uległa mu dopiero po pół roku, a on księdzem nie był, żeby żyć w celibacie. Zosia nie miała o niczym pojęcia. A poza tym teraz nie była ani chętna, ani atrakcyjna.

Mąż coraz dłużej zostawał po pracy w mieście, coraz częściej po powrocie czuć było od niego alkohol. To przerażało Zosię. U niej w domu pijało się od święta, a i to niewielkie ilości. Kiedy się spotykali, nigdy nie zauważyła, żeby Broniek był wstawiony. Naiwna, nie zdawała sobie sprawy, że umiejętnie się kamufluje, pije dopiero po pożegnaniu z nią.

Pani Aniela kiwała tylko zrezygnowana głową. Ona знаła tę rzeczywistość doskonale. Taki sam był jej mąż i, niestety, obaj synowie. Żona jej starszego syna, Henryka, szybko poszła po rozum do głowy i uciekła od niego, zanim zdążył ją zakotwiczyć dziećmi. Pani Aniela nie miała do niej żalu, chętnie zrobiłaby to samo, ale kiedyś ślub cementował związek na dobre i na złe, w przypadku Wójcików w większości na złe. Na nieszczęście dla kobiet Wójcikowie byli ponadprzeciętnie przystojni, wabili dziewczęta urokiem, skakali jak pasikonik z koniczynki na koniczynkę i bez walki ulegali swoim zachciankom i nałogom. Patrzyła teraz stara Wójcikowa na tę młodą i w duchu ręce załamywała, ale na zewnątrz nie okazała nawet odrobiny słabości. Musi ta Zośka okrzepnąć, myślała i włączała ją do prac w gospodarstwie. Na początku traktowała synową bardzo

ulgowo, bo przecież nosiła pod sercem dzieci, ale nie szczędziła jej wtedy nauk. Pokazywała, tłumaczyła, wymagała.

W lutym, dobry miesiąc przed terminem, Zosia urodziła przez cesarkę dwóch chłopaków. Bliźniaki kilka tygodni spędziły w inkubatorze, a matka niemal od nich nie odchodziła. Dotykała małych nóżek i rączek, obiecywała, że przenigdy w świecie ich nie zawiedzie, nie opuści, nie zostawi bez pomocy, choćby nie wiadomo, co się stało.

Dwa miesiące przed porodem wyszła z kontrolnej wizyty u ginekologa. Zamyślona, nawet nie zauważyła, że nogi zaniosły ją w pobliże rodzinnego domu. Zmęczona spacerem przysiadła na zaśniewanej ławce, by nieco odsapnąć. Zbliżał się czas świąt; witryny sklepowe rozświetlał blask kolorowych lampek, zewsząd dobiegały dźwięki kolęd, ludzie biegali z obłędem w oczach, dokupując brakujące prezenty. Jakiś chłopiec zatrzymał się przed wystawą i nie chciał ruszyć dalej, bo za szybą Mikołaj w czerwonym wdzianku machał do niego ręką i wołał głośno: ho–ho–ho! Matka zrezygnowana postawiła ciężką torbę obok syna i coś mu z uśmiechem tłumaczyła. I wtedy Zosia po drugiej stronie ulicy kątem oka dostrzegła znajomą sylwetkę. Zerwała się z ławki i krzyknęła gromko: Mamooo! Kobieta zerknęła w jej stronę, zatrzymała się na sekundę, a gdy uzmysłowiła sobie, kto woła, zgarbiła się jakoś, wcisnęła głowę w ramiona i niemal uciekła.

A Zosia stała zaskoczona. Uśmiech, który wywołał na jej twarzy mały chłopiec, powoli zniknął. Do serca sączyła się gorycz, a po twarzy płynęły łzy. A potem wytarła policzki szorstką wełnianą rękawiczką, zagryzła zęby i poszła na przystanek autobusowy, by wrócić do domu.

Całą drogę patrzyła za okno; krajobraz migał jej przed oczami, ale ona widziała tylko postać matki, jej skulone ramiona. W tym momencie oddzieliła przeszłość grubą krechę i obiecała sobie, że nie da się zastraszyć tak jak ona.